Lwów, 8. Kwietnia. № 42. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr stęplowego. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Dwa nowe epizody.

(Ciąg dalszy.)

Na twarzy pana Kazimierza wyciśnięte było piętno tego życia paryskiego jakie prowadził; znać było na niej zmęczenie fizyczne, osłabienie moralne, i suchoty kieszeniowe. Kurował się na to wszystko połykając kielich po kielichu madery, które mu ciągle dolewał na przeciwko siedzący mężczyzna. Był to człek z włosem kędzierzawym nieco, nosem orlim, wydatną brodą a ustami wciśniętemi, co wszystko razem nadawało jego twarzy cechę orientalną nieco. Z twarzy i całej postawy, kształtnej dosyć, nie poznać wieku; był to człowiek ani stary ani młody; równie też trudno było z wyrazu jego twarzy zadecydować, czy piękny czy brzydki, dobry czy zły; była to jednem słowem twarz, jaka się nieraz zdarzy widzieć, na której widok każdy przyznać musi, że tam jest spryt. W wyrazie oczów jego czarnych zwróconych na pana Kazimierza, widoczna była ta jego wyższość umysłowa, taką pogardą nacieniowana.

Aby wiedzieć kto był ten mężczyzna, musiemy przypomnieć, że w początku naszej powieści wspomnieliśmy o czwartej w onym jarze podolskim położonej wiosce Zalesińcach, której dworek skromny stał na przeciwko pałacu Chałupinieckiego. Ojciec pana Dyzmy Zaklickiego przymuszony był ją przedać panu Kalasantemu Łapeckiemu. O panu Łapeckim twierdzono, że nim został i Łapeckim i Kalasantym, znanym był pod nazwiskiem Icka Łapcies, który zacząwszy od handlu skórkami zajęczemi, przeszedłszy przez koleje arendarza, handlarza zbożowego, lichwiarza i liweranta wyszedł na szlachcica i posiadacza majętności ziemskiej. Czy to prawda, trudno zawyrokować; to pewna, że choć w lichym mieszkał dworze, i żył bardzo oszczędnie, wieść okoliczna rozpowiadała cuda o jego baryłkach pełnych srebra, które ciągle spuszcza do murowanego lamusa. Nie było nigdy wielkiej harmonii między dworami Chałupinieckim i Zalesinieckim. Pan Dyzma nie mógł mu darować nie tyle pochodzenia niepewnego, ile raczej tego że jest panem Zalesiniec, i że mu bruzdzi w tym widoku na własny obszerny majątek, jaki się rozciągał z okien pałacu chałupinieckiego. Pan Kalasanty przeczuwając pogardę w panu Dyzmie, odpłacał się mu nienawiścią; i jeżeli pan Dyzma z lulką na długim cybuchu w ganku siedząc, smutnem nieraz poglądał okiem na tę perłę oderwaną z jego majątkowej korony, pan Kalasanty natomiast z krótkim cybuszkiem w ustach spoglądał na Chałupińce z przyległościami okiem pełnem pożerczej pożądliwości. Bywali wszakże u siebie, choć rzadko; i na pochwałę gwałtownego pana Dyzmy powiedzieć potrzeba, że nigdy złości swojej do sąsiada jeżeli ją miał, nie objawiał niesąsiedzkim jakim postępkiem. Nie chcąc mieć z nim bliższych ani dobrych ani złych zajść, wyrachowanie, zimną grzecznością trzymał go w pewnej od siebie odległości. Pan Kalasanty miał syna któremu nadał imię Stanisława. Młody Łapecki, o lat może dziesięć starszy od pana Kazimierza, zszedł się z nim, bywał w Chałupińcach bardzo rzadko, tem więcej, że długi czas mieszkał w stolicy, a nawet lat kilka przepędził na jakimś uniwersytecie niemieckim. Stosunki synów podobne były zupełnie do stosunku, jaki istniał między ojcami, z dodatkiem większej i wydatniejszej fumy ze strony pana Kazimierza, okrzyczanej po jarmarkach lub innych zjazdach przypadkowych; i większego u pana Stanisława zaparcia się wszelkich oznak zewnętrznych swych myśli i uczuć w obejściu się z panem Kazimierzem. Pan Stanisław Łapecki był typem szczególnym, nie naturalnym prawie, a przecie często zdarzającym się w naszem dzisiejszem życiu. Miał on niezaprzeczenie wykształcenie wyższe, naukę prawdziwą, i wiadomości różnostronnych wiele, pogląd nawet na rzeczy ludzi i zdarzenia, na przeszłość, i przyszłość wyższy od zwykłego zapatrywania się, i wszystko to przecie razem, co daje pochop do najwznioślejszych myśli i uczuć, co jedynie zdoła upoetyzować życie, wszystko to nie rozgrzało ani jego głowy, ani jego serca? I rozum i uczucia miał zimne jak lód. Miałoż to być wynikłością pochodzenia jakie mu przypisywano? Ale co dziwniejsza! w uniwersytecie niemieckim do którego uczęszczał, był jednym z lepszych uczniów; mianowicie był ogromnym zwolennikiem i najwierniejszym wyznawcą filozofii niemieckiej, i po tej drodze najteoryteczniejszego spirytualizmu przyszedł do rezultatów najpraktyczniejszego materializmu. Mistyczne spekulacyje filozofii niemieckiej, niknące w mgle teoryi, a zakierowane przecie do poznania istoty wszech rzeczy i samego siebie, przyprowadziły go po najgładszej drodze do zupełnego, zakamieniałego egoizmu, do uznania ostatecznej prawdy

praktycznej, w zakierowaniu wszystkich spekulacyj gwoli i pomocy swego *ja*. I nie jest to próżny aforyzm! O prawdzie podobnych typów można się nieraz przekonać zwiedzając Niemcy, a mianowicie północniejsze Niemiec strony. Zdybiesz nieraz na kolei żelaznej fizyonomią sympatyczną przez spryt na niej wyryty. Wdajesz się z nim w rozmowę. Z myśli w myśl przechodząc, rozmawiacie o tem i owem, i słyszysz zdania pełne wzniosłej filantropii, postrzeżenia głębokie o postępie i potrzebach ludzkości, pomysły najliberalniejsze w zakierowaniu dalekiej przyszłości; cały skarb nowych i w pożytek płodnych ideów regeneracyjnych. Oczarowany słuchasz; i smutno ci się robi, gdy sobie przypomnisz naszych ojczystych hreczkosiejów, poczciwych ale głupich; w tem staje pociąg przy dworcu gdzie macie się rozjeżdżać. Dostajesz na pamiątkę bilet wizytowy z nazwiskiem jakiegoś Majera, Wolfa, lub Szulca i dodatkiem: kupiec hurtowny, bankier, lub wekslarz. Zastanawiasz się trochę, lecz pamięć rozmowy przeważa to jakieś nieharmonijne uczucie w tobie wzbudzone. Później dopiero innym przypadkiem, byle tylko nie przypadkiem własnej potrzeby, dowiadujesz się, że ten p. Majer, Wolf, czy Szulc, zamieszkały w Hamburgu, Lubece lub innem tym podobnem mieście, jest sławny lichwiarz, przedsiębierca tanich przewozów emigracyi niemieckiej do Ameryki, pakujących ją jak ludzi pod trzeci pokład najciaśniejszy, pożerający codzień pot i łzy swoich fabrycznych rzemieślników i klientów, okutych w wekslowe kajdany, w postaci pasztetów strazburskich i Johanisbergera o zielonej pieczątce. Takim był pan Stanisław Łapecki.

Do obrazu ojca i syna jeszcze jedno dodać trzeba. Wszyscy w sąsiedztwie Zalesiniec łamali sobie głowę nad tem, a wiemy z doświadczenia przecie że na wsi lubią sobie łamać głowę nad każdą szczególnością sąsiedzką, dla czego stary Łapecki, którego już na miliony rachowali, żadnych dóbr nie kupuje, a młody Łapecki choć już trzydziestówkę minął, nie żeni się. Jeden tylko Reb Srul Zelmann, arendarz wszystkich czterech wiosek w jarze podolskim położonych, gdy rozmowa na to w obec niego padła, kiwał głową, z dziwnie znaczącym wyrazem i uśmiechem. Lecz czy co wiedział w tej mierze, nigdy nikomu nie odkrył; z tej zapewne przyczyny, że nikt mu za to dobrze nie zapłacił.

Pan Kalasanty w kilka miesięcy po wyjeździe pana Kazimierza zachorował i umarł. Na kilka godzin przed śmiercią nadzwyczaj przytomną, zamknął się z synem, długo z nim rozmawiał, i zapewne wszystkie mu oddał rachunki i klucze. Ten rodzaj testamentu ustnego, jak rzekłem poobcierał nosy sąsiadom wszystkim, którzy nic się niemogli dowiedzieć o majątkowym stanie nieboszczyka. Lecz w krótce po śmierci ojca p. Stanisław znikł jak kamfora z okolicy, z nikim się nie pożegnawszy, nic nikomu nie powiedziawszy. I teraz dopiero dla nas wypłynął na wierzch w postaci siedzącego na przeciw pana Kazimierza mężczyzny.

Nikogo to zapewne nie zadziwi, że pan Kazimierz, który w kraju tyle okazywał fumy panu Stanisławowi, zapoznał się bliżej z nim w Paryżu, a nawet zaprzyjaźnił. Bo naturalnie za granicą nikt z rodaków nie mógł widzieć tej bliskiej zażyłości, ani też nikomu znanemi być nie mogły pochodzenie pana Stanisława, i przyczyny nieharmonii istniejącej między nimi. A do tego pan Stanisław żył bardzo przyzwoicie, mieszkał w lepszym hotelu, jadał po lepszych restauracyjach, i zdawał się mieć znaczne pieniądze. Bez przesady zbliżył się do pana Kazimierza, zszedł się z nim w teatrze, zszedł na bulwarach, i u Werego i u Weszera, i w kawiarni angielskiej, i u loretek, i za kulisami. Od traktowania cygarami przeszło do traktamentów restauracyjnych, i do tej zażyłości tak łatwej między dwoma próżniakami, zbijającemi jeden i ten sam bruk, mającemi czas, pieniądze i zdrowie do marnowania. Stali się pomału towarzyszami nierozdzielnymi, mianowicie w hulankach nocnych, w których pan Stanisław mocną obdarzon głową, został nauczycielem pana Kazimierza, i znalazł w nim ucznia coraz pojętniejszego. Xeres, Madera i Oporto, jako jedynie godne napoje mocnych głów polskich, nauczył się pan Kazimierz wycedzać con amore, i codzień więcej pił, mianowicie w miarę jak czuł potrzebę zalewać trunkiem trudności finansowe. Te trudności stały się nowym węzłem przyjaźni między nimi, bo pan Stanisław i sam z własnej kieszeni pożyczał panu Kazimierzowi, i niewiedzieć zkąd miał doskonałe stosunki w świecie finansowym, które najusłużniej ofiarował na korzyść pana Kazimierza codzień golszego, i codzień więcej trwoniącego.

Owoż jak mówiliśmy, siedzieli obydwa przy małym stoliku w obec kilku butelek madery, która wedle zdania Stanisława najlepszem jest lekarstwem na niewyspanie i przepicie się.

— Zalej te głupie myśli! mówił pan Stanisław do przyjaciela na którego twarzy widoczny był cień jakiejś myśli ciężkiej i przykrej, i nowy nalał mu kielich złotego i wonnego napoju.

Pan Kazimierz posłuchał przyjaciela i wypił kielich do dna, ale ani poczerwieniał ani rozweselił się. Panna Eugenia zwinąwszy w tej chwili ostatni papilot, oparła się poufale na ramieniu swego kochanka; a jeszcze poufalej i figlarniej i zalotniej popatrzała na pana Stanisława.

— Dites donc! rzekła do niego, est-ce-que ca durera longtemps; mais vous buvez comme des trous.

— Dajno pokój Eugenio! ozwał się pan Kazimierz. Niepotrzebuję mówić że rozmowa odbywała się po francusku.

— Nudny jesteś mój kotku! przemówiła słowem do Kazimierza a okiem ognistem do Stanisława. Któż się będzie gryść przegraną. Ja wiem że wygrałam.

To była nie nowina, bo panna Eugenia miała talent siadać do gry bez grosza; pożyczała na prawo i na lewo od mężczyzn, i wkońcu wstawała zawsze z wygraną.

— Ma racyą! mówił Stanisław; dziś się przegra, jutro wygra; to są zwykłe szanse gry.

— Vous m'ennuyez messieurs avec votre baragouin polonais; wymówiła panna Eugenia, i zaczęła bez najmniejszej ceremonii rozpinać i rozsznurowywać suknię. Loretki w tej mierze są nadzwyczaj naiwne. I w rzeczy samej niemiała się czego wstydzić, bo płeć miała śliczną i kształt ciała cudowny. Pan Stanisław zdawał się to uważać, parę bowiem więcej jak przyjacielskich rzucił spojrzeń ku niej.

— Gdyby to tylko szło o przegraną! zagadł pan Kazimierz.

— Cóż u djabła o długi ci idzie... I znowu nalał wina zafrasowanemu przyjacielowi. Cóż one znaczą dla ciebie?

— Ojciec już nie przyśle; długów nie zapłaci, a tu trzeba wracać... to głupie położenie.

— Ojciec zawsze ojcem! da się nakłonić!...

— Nie znasz mego ojca!... A potem tu niema czasu do tracenia, bo kredytu już niemam, i te przeklęte pijawki francuskie nagabują mnie okropnie.

— Tak! wtrącił pan Stanisław, cedząc powoli kieliszek wina.

— Już mnie nawet dzis awizowano sądownie o wypłatę kilku wekslów....

— Czyje to weksle?

— A czy ja wiem! słowo honoru daję, ja nawet niewiem ile razem winienem.

— To doskonale!... to prawdziwie po naszemu, po polsku! zaśmiał się Stanisław.

— Jeszcze mnie te łotry Francuzy zamkną.

— A gotowi!... z tą równością wszystkich przed prawem...

— Słowo ci honoru daję! że mnie chętka porywa w łeb sobie wypalić...

— Do tego zawsze dosyć czasu.

— I tak mnie już wszystko nudzi, zbrzydło wszystko.. słowo honoru ja mam splen. W dowód tego nalał nową szklanicę madery i wypił; nie wiem czy mu po niej ubyło splenu, ale dodało niepospolicie do zupełnego upicia się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBRONA SOKOŁOWA.

Śpiew bohaterski

w IX. pieśniach.

(Ciąg dalszy.)

Pieśń IX.

Gdzież jesteś luba? gdzieś Muzo dziewiąta?
Nie wstydź się, wyleź ze skromnego kąta,
I wieszcz jest skrómny, o nazwę niepyta;
Chodź więc na pomoc, chodź Muzo kopyta!
Gdy będę o twych zwolennikach śpiewać
Nie daj się strónom cymbałów pozrywać.
Masz w ręku batog, masz postronek w ręku,
Powiąż me rymy do zgodnego pęku,
A gdy pomożesz, dźwięcznie skończyć śpiewy,
W nadgrodę kwiatem uwieńczę twe chlewy.

Dawna dziedziczka sokołowskiej włości,
Pędziła życie w największej czystości,
Myła się co dzień najmniej po pięć razy,
A lubiąc białość bez najmniejszej skazy,
Co dzień zmieniała koszulki, spodniczki,
Poszwy, pończoszki, nocne kaftaniczki,
To prześcieradła, chustki i chusteczki,
Różne kawałki, szmatki i szmateczki:
Lecz gdy bielizny kilka setek miała,
Więc walne prania rzadko odprawiała.
Zato gdy nadszedł ten dzień uroczysty,
Gdzie ginąć musiał każdy brud nieczysty,
Oj, wielkie były mozoły i trudy,
Bo łatwiej robić, niż wytępiać brudy.
Więc jak zgotować na tak wielkie gody
W niewielkiej kuchni, taką ilość wody?
Więc czysta Jejmość, by temu zaradzić,
Kazała w ziemi trzy kotły osadzić,
Ależci kotły! takiej obszerności,
Że woła możesz zgotować w całości!
Podziemne ognie żołądki ich grzały,
A wody wrzały, syczały, kipiały,
Takie to kotły, zwiastuny swobody,
Dziś są oddane mieszczanom na gody!

Powstało słońce, powstali rycerze,
I odmawiają poranne pacierze,
A Hryć Gromada odbiwszy pokłony,
Poszedł do wozów, gdzie miał skarb złożony,
A do łaciny nie sposobiąc głowy,
Więc do swej kaszy rzekł polskiemi słowy:
«Kaszo jaglana! o dziecię mej pracy,
«Która mi tyle miałaś przyniesć płacy,
«Którą ściągałem w pocie mego czoła,
«Ze wszytkich wiosek o milę do koła,
«Na którą tylem pokładał nadziei,
«I strzegł jak oka w głowie od złodziei,
«Chował od myszy, szczurów i stęchlizny,
«Idź w pole sławy, idź bronić ojczyzny!
«Już cię czekają wodne kotłów wary,
«O! idź na łono gorąca i pary!
«Idź, już cię z mojej wypuszczam opieki,
«Idź sprawiać wrogom ślepotę i spieki!«
Rzekł i zatoczył po nad kotły wozy,
Odwiązał z worów konopne powrozy,
I spuścił krupy w otchłanie dymiące,
Wody kipiące, syczące i wrzące!

Tymczasem w zamku wielkie jest krzątanie,
Co za wiercenie, co za świdrowanie!
Temu za mała dziura do sikania,
Musi przedsiębrać nowe przewiercania,
Temu znów wielka jest w sikawce dziura,
Więc szukać musi grubszego kostura;
Wszystkie sikawki dziś w postaci nowej,
Mają otwarte jak mędrkowie głowy.
Ale Borodaj tem nie kontent wcale,
On wszystko lubi na największą skalę,
Więc hojnie wrogom chcąc pomnożyć spieki,
Wziął próżne ule z zamkowej pasieki,

Po dwa je spaja i klamrami łączy,
A smołę w miejsca pojednania sączy.
Stanęły rury sążniowej długości,
Oczekujące kaszanych płynności,
Pięć tych rur było, były też i miechy,
Cztery kowalskie z pod Maćkowej strzechy,
Piąty kościelny lecz skromnej pazuchy,
Który organom nadmuchiwał brzuchy,
Te dziś Borodaj połączył z rurami,
I każe świstać całemi płucami,
Potem je kładzie na przodki wozowe,
Więc arcydzieło stanęło gotowe!
A kto je zdala ujrzy, wnet umyka,
By go nie ściągła działowa muzyka.

Gardła otwarte, oczekują strawy,
A któż tam, proszę, śród kipiącej wrzawy,
Czyjaż to postać śród dymu i pary,
Niby Westalki gdy pali ofiary?
Coś olympijskiej podobnego Hebie,
Która nektary nosiła po niebie?
Któż to? Barbara! a proszę, to ona,
Dziś z człeka zrobić gotowa gawrona,
Że miała wdzięki, nie tajno nikomu,
Stare zdobytki z starościny domu.
Lecz dziś! ramiona tłuściutkie, pulchniutkie,
Ba, ba, a nóżki, malutkie, zgrabniutkie,
I gors nieczego; choć z dawnej piękności
Dzisiaj niestety! wyglądają kości!
Ale Barbara znajoma z dworami,
Tę słabą stronę umie kryć chustkami;
Dosyć, że dzisiaj Ogonichy ciało
W jakiemś nieznanem świetle zajaśniało.
Widać, że urząd rodzi w człeku cnoty,
I obce pierwej budzi w nim przymioty,
Bo wielki urząd Barbara piastuje,
Gdy broń kaszaną dla wrogów gotuje,
Więc ku mieszaniu w tej jaglanej toni
Trzyma wypukłą łopatę w swej dłoni.
Para w twarz bucha, rumieni jagody,
Nie trza buraka, tyle dziś urody!
Przeto mieszczanie estetycznej weny,
Kładą Barbarę dziś wyżej Heleny,

Ale niedługo te umizgi trwały,
Ryknął Borodaj: na wały! na wały!
A z wału widok rozpostarł się nowy,
Już fosę kryje zewsząd most deskowy,
Bo Tatar w nocy, gdy rzucał ogniami,
Cichaczem fosę zarzucił deskami;
Teraz na hufce nie dzieląc hołoty,
Jednym szeregiem rusza na zaloty.
Przeto mieszczanie by przerwać im szyki,
Toczą na wały sławne kaszosiki.
Już cztery działa ku wrogom zwrócone
A dla plebanów piąte zostawione;
Tu sam Lewita objął nad niem wodze,
Choć na zwichniętej słabo stojąc nodze,
A dziad kościelny stanął mu przy boku,
By wlewać w paszczę kaszego obroku.

Ale na wale najdzielniejsze działo,
Rękasowskiemu dowództwo oddało.
Przy nim z konewką do wlewania kaszy,
Najpotężniejszy służy mu podczaszy. (D. n.)

Najnowsze dzieła.

Kilka wspomnień uniwersyteckich

(przez Johna of Dycalp.)

Jestto powieść oparta na kilku wspomniniach z czasów uniwersytetu wileńskiego. Życie młodzieży ówczesnej, w pięknych odmalowane kolorach. Powieść rozpoczyna się sceną pogrzebową mieszczanina wileńskiego. Nad grobem nieznajomy młodzieniec zabiera głos i składa publiczne dzięki swemu zmarłemu dobroczyńcy, który za życia nie chciał, aby ten młodzieniec wiedział i dał mu poznać że z jego łaski i dobroci miał wszystko. Dopiero po zgonie jego od człowieka, który był pośrednikiem w dokonywaniu tej dobroczynności, Marcinkiewicz dowiedział się o imieniu swego prawdziwego dobroczyńcy. Skończywszy swą krótką, pełną wzruszenia przemowę, wysunął się z tłumu, a zeszedłszy się na cmentarzu z kolegami, Erazmem i Ludwikiem, wraz z nimi wracał do domu. Pytającym o powód mowy pogrzebowej, którą miał na cmentarzu, odparł wesoło, iż rubelka mu zapłacono. Z pomiędzy kilku młodych ludzi trudno było ciekawym poznać, kto był owym mowcą. Jedni więc dopytującej się wdowie po zmarłym wskazywali na Ludwika, który zamyślony szedł obok kolegów.

Z pogrzebu nasza młodzież powróciła do celi Adama, gdzie miano wspólnie powtarzać przedmioty szkolne, gdyż właśnie następował egzamin. Z prawdą wielką skreślone tu owe rozpaczliwe usiłowania uczniów, którzy licząc na swą zdolność, pamięć, natężoną usilność, pomoc towarzyszy; a w ostatnim razie rozpaczy, i na swoje szczęście, zaniedbywali się przez kurs cały, teraz radziby wszystko wynagrodzić w dniach kilku. Jak serdecznie ściskali ręce uczniów celniejszych, jak pilnie się dowiadywali o godzinach, gdzie celniejsi uczniowie powtarzali całoroczne wykłady, o godzinach repetycyi, jak wcześnie przybywali na nie, i z jakiem uszanowaniem i uwagą słuchali. Nasi trzej uczniowie zastali Adama zasmuconego wielce, otrzymał bowiem przed chwilą list, iż brat jego starszy umarł, który go wspierał w szkołach, i zostawił żonę i dzieci bez sposobu do życia. Wszyscy koledzy podzielali szczerze smutek Adama. Jeden tylko Marcinkiewicz, ów mowca pogrzebowy, wysłuchał ledwie półuchem, machnął ręką jak Augustulus, gdy mu doniesiono o stracie Rzymu i podobnie jak jak ten ostatni z Cezarów zajął się rzeczami ważniejszemi, przygotowaniami do repetycyi. Marcinkiewicz wyprosił u braciszka Czesława, kanafasza klasztoru, w którym poddasze nasza uboga młodzież wynajmywała, kawałek stoczka, przy którego świetle aż do świtu prawie młodzież się uczyła, aż nareszcie wszyscy na dobre posnęli. Lecz braciszek idąc na jutrznię pobudził młodzież, Daremne były błagania, aby im choć kwandransik pozwolił. »Jeszcze jednn kwandransik przedrzymać, królu! dobro-

dzieju!" Ale nic nie pomogło. Braciszek stał przy raz zawartej umowie i włożonym na niego obowiązku, a młodzież powstawać musiała.

Wdowa po zmarłym mieszczanie wileńskim, udała się do dziekana uniwersytetu i oświadczyła mu, iż ś. p. mąż jej dawał wsparcie ubogiemu uczniowi, a ona teraz dla błogiej pamięci nieboszczyka to samo wsparcie i na dal użyczać mu pragnie. Dziekan rad był z jej ofiary i natychmiast objawił Ludwikowi, którego wdowa wymieniła. Za radą dziekana udał się Ludwik z podziękowaniem do wdowy. Na ulicy spotkał Marcinkiewicza i opowiedział mu wszystko. „Winszuję ci z serca, rzekł mu Marcinkiewicz z lekkiem westchnieniem i zamilkł chwilę; wnet jednak wracając do zwyczajnej wesołości przydał: Pójdźże zaraz do swojej miłościwej mecenasowej i podziękuj. To będzie ładnie. Albo wiesz co Ludwiku, rzekł po króciutkim namyśle, nie idź dzisiaj! wpadniesz tam teraz na same płacze. Odłóż to lepiej na jutro. Ona mieszka na Safiannikach.

— Ale zkądże ty wiesz znowu, że na Safiannikach?

— A gdzieszchcesz aby mieszkała wdowa po nieboszczyku safianniku! — odpowiedział Marcinkiewicz z uśmiechem, i nucąc coś wesołego śpiesznie się oddalił.

Ludwik wszakże pamiętny rady dziekana, postanowił pójść podziękować niezwłocznie.

Wkrótce i Marcinkiewicz przywołanym był do dziekana, który mu objawił, iż tegoroczna pierwsza nagroda jemu przyznana będzie. Ale gdy dziekan przydał: „Powinszuj odemnie i Adamowi, otrzymuje on accessit" w sercu naszego młodzieńca nagle myśl elektryczna błysnęła. Oświadczył głosem drżącym, iż ma ważną prożbę do dziekana: „Premium nie do mnie należy, lecz do Adama, bo jego to główna myśl w wypracowaniu mojem. On mi zawsze poprawiał wszystkie moje prace." W dalszej rozmowie dowiaduje się dziekan uniwersytetu o nieszczęściu które dotknęło Adama i przenika poświęcenie się Marcinkiewicza. Premium które Adam otrzymał było znacznem wsparciem dla niego, tak, że i siebie i sieroty po bracie pozostałe ratować mógł.

Marcinkiewicz miał dawniej wsparcie od owego mieszczanina, lecz gdy przez pomyłkę ofiarowano to wsparcie Ludwikowi, Marcinkiewicz nie reklamował tej pomyłki, choć nadal żyć nie miał z czego. W pracy i w Bogu miał nadzieję. Opowiemy myśli które go zajmowały. Dadzą one najlepiej poznać stan duszy tego dobrego młodzieńca. O jego przeszłości tyle tylko napomkniemy, że rodziców utracił jeszcze w dzieciństwie, że miał jednę tylko o kilka lat od siebie młodszą siostrę, którą też zostawił jeszcze dzieckiem: że dotąd znał ją jedynie z listów, i teraźniejszych nakoniec wakacij miał odwiedzić.

I tak jej nie zobaczę! myślał on z łagodnym smutkiem jak łagodnem było uczucie którego doznawał choć przyrzekłem jej tyle razy, i jeszcze wczoraj miałem zupełną nadzieję, Byłbym widać zbyt szczęśliwy przyciskając nakoniec do serca jedyną istotę, co mnie kocha a więc się obeszło!... Któż wie jeszcze, czy i ona, choć mi daje najczulsze imiona w listach, i powtarza że kocha po Bogu najpierwej, któżto wie czy i ona dostrzegłszy jakem łatwy do powodowania, jak mi drogie każde uprzejme słowo, każde życzliwe ściśnienie ręki czy też i ona zamiast przyjazni nie obróciłaby mię tylko do braterskiej posługi? W ostatnim liście pisze mi nawet: że właśnie bardzo i bardzo potrzebowałaby teraz mojej rady. A więc oczewiście i to serce już nie dla mnie już ubieżone! Ach! jedna tylko matka szczerze i z całej duszy przychyliłaby do siebie swe biedne dziecię, kochałaby je nie dla siebie!

Lecz ogólnyż to wszystkich biednych przywilej czy też mój tylko wyłączny, że każdy krok którymby chciał się zbliżyć do innych ludzi, każdy mój zaczepny czy odporny uśmiech, każda najmniejsza, najniewinniejsza, choćby niepomyślana usługa ściągają mi zaraz podejrzenie? Wielu wprost mię pyta: czego też od nich potrzebuje? szlachetniejsi i nawykli do obejścia się pełnego względności nawet z ubóstwem, wybadują mię, z daleka. Otwarci szydercy i trzpioty, jak Ludwik, nie krępują się do tego stopnia, że nazywają mię **chodzącym podatkiem!** A przecież daleko dotkliwiej dolegają mi ostróżne, wiedoczne jednak dla mnie starania tych, którzy jakimkolwiek sposobem chcieliby mię zobowiązać. Bo zda mi się, że widzą oni we mnie tylko milczącą ale natrętną prośbę którą wnet trzeba uprzedzić i oddalić jałmużną. Słusznież to? Bogu wiadomo, że nie. Nigdym nie pragnął, nie prosił, i nie miał od nikogo żadnej pomocy, prócz tej tajemnej, której byłem winien całe me utrzymanie, i która dziś dla mnie się skończyła. Otóż co z nami będzie teraz?...

„Obróć oczy litościwe,
„Na sieroty nieszczęśliwe."

dał się słyszeć w tej chwili śpiew ślepego kaleki siedzącego z małym chłopczykiem przy moście, przez który przechodził nasz młodzian.

Słowa te w okamgnieniu rozpogodziły mu czoło. Z najlepszem sercem podał on kilka groszy, bez wątpienia większemu od siebie kapitaliście, i jak gdyby nagle przybyły mu tysiące, szedł już i myślał dalej wesoło: „Podczas wakacyi wyszukamy sobie jaką skromniuchną kondycją gdziekolwiek na przedmieściu, choćby za samo tylko mleko. A dumie naszej uniwersyteckiej powie się: wychodzimy sobie Mościa Pani za miasto, dla świeżego powietrza, albo nawet i w celu uczonym: dla zbierania różnych rzadkich ziół i dla entomologji! Mundurowi oświadczymy bez ogródki: Bądź co bądź, powinieneś nam Panie Podstarości jeszcze dosłużyć roku. Bo cóż to znaczy: rok już tylko i to ostatni! a potem gratyfikacja, emerytura, i jak najpiękniejsze zaświadczenie! Płaszcz a zbytek toż przecie synonimy!

Wreszcie po wakacijach może też Bóg zdarzy i kondycją w mieście. A tymczasem, mając wolne bite dwa miesiące, można będzie przepisać na rok następny spory plik seksternów, i czystem sumieniem wziąć coś za nie od tych błogosławionych krezusów, co to ach! Panie! jadą na wakacije do mam, sióstr, ciociów i uważają za facecją, jak to komu można być bez obiadu? Nakoniec, mówił mi Czesław: że przeor chce niby przed następującą kapitułą wystąpić z rejestrem biblioteki, i mnie jakoby mianowicie zamyśla użyć do tej obedijencii. Otóż frej-stancyja, stół i świce! A więc wszystko to jakoś będzie! mój Marcinkiewiczu!

Pospieszył Marcinkiewicz do wdowy mieszczanina, aby jej podziękować za wsparcie i uprosić, by wrazie odkrycia pomyłki nie odbierała wsparcia Ludwikowi, jako potrzebniejszemu od niego. Prożby jego wysłuchała, lecz widząc, iż Marcinkiewicz nie ma również pewnego utrzymania, ofiarują mi stół i taką samą kwotę jaką dawniej otrzymywał, za naukę drobnych dzieci.

Przy oddawaniu nagród gdy oddawano z kolei Marcinkiewiczowi tak nazwane accessit, Rektor przemówił doń z cicha słów kilka, oświadczając: że wie od Dziekana, o jego szlachetnym postępku, i że mniejsza pochwała uniwersytetu, powinna być dla niego tylko przypomnieniem innej której treść przeczyta zawsze w swem sercu.

— Co to ci on mówił? pytali koledzy, gdy nakoniec dostał się między nich z bijącem sercem, i cały zapłoniony.

— A cóż znów chcecie innego! odpowiedział obwiewając się chustką Marcinkiewicz, radził mi: abym przeszedł na oddział fizycznomatematyczny.

— W poręż wybrał się z radą, kiedy ci już tylko rok zostaje!

Poczciwy Marcinkiewicz; nazywano go podatkiem chodzącym, a on pełnemi garściami rozsypywał dobrodziejstwa, on co chwila wszystko najdroższe poświęcał dla innych, ukrywając to przed światem! (D. n.)

Sewastopol

(Ciąg dalszy.) — Nareszcie stanęliśmy na dole, podrapani, zwalani i z dziurami w odzieniu. Pył wapienny gryzł oczy niemiłosiernie; przypomniałem sobie ze strachem, to com czytał w Demidowie o Oftalmii, która panowała tu 1837 r. pomiędzy pracującymi w porcie żołnierzami. Dla widzenia doków potrzeba było przepływać w łodzi kanał, obok olbrzymich statków wojennych, których na teraz tylko było 8; inne były na morzu. Na łodzi przewożącej był jakiś sierżant i wielce rozmowna babina, pewnie jakaś pani unteroficerowa; kokietowała przewoźnika, sierżanta, nareszcie przyszła na nas kolej a miała z czego wybierać bo było nas pięciu, najmłodszy miał 20, najstarszy 33 lata; pytała zkąd i dokąd płyniemy, i czego panom chce się włóczyć, czy nie lepiejby było siedzieć w domu i żyć po pańsku, z żoną krasawicą; wszystkie te słowa były oprawne w uśmiech i zaostrzane, Boże! jakim grotem wzroku; przewoźnik nie mógł przenieść tego na sucho i zażył tabaki; unteroficer ruszył tylko ramionami. Widzieliśmy nareszcie doki; są to murowane ogromne basseny, na które wprowadza się okręt, wypuszcza się następnie woda tak, iż statek staje na pewnych kamiennych podstawach; wówczas można go opatrzyć wszędzie i naprawiać; kiedy wszystko już poprawiono, woda się wpuszcza na nowo, statek się podnosi i wypływa na kanał. Doki kosztują ogromne summy. Widzieliśmy na jednym doku stojący statek liniowy „Warszawa" o 120 działach; na drugim fregatę „Brailow." Okręt Warszawa jest to ogromny gmach; wysokość jego bez masztów równa się domowi o trzech piętrach; jednakże tak jest uszkodzony, iż mówiono nam, iż go naprawiać nie będą, a rozbiorą na drzewo. W porcie tutejszym jest wielki nieprzyjaciel okrętów, straszny dla sił morskich: jest to mały, niedojrzany prawie robaczek (teredo navalis) psujący okręt i czyniący go czasami niezdatnym do użycia po 8miu latach od zbudowania. Widzieliśmy okręt czyszczący kanał z mułu, którym się ten zanosi; pracuje tu parowa maszyna, ale czuć tu okropnie; płynęliśmy powtórnie obok liniowych okrętów; widzieliśmy okręt „12. Apostołów," któremu został złamany maszt w czasie przeglądu dokonanego przez w. księcia Konstantego na morzu; przyprowadzono go tu za pomocą parowego statku; okręt ten był 120 działowy, o 6. piętrach, przepych na nim szczególny, sala gdzie można dać bal, salony ubrane w gustowne i bogate meble, wielki balkon na morze, gdzie możesz czytać albo pić herbatę jakby z balkonu jakiego wiejskiego zamku. W nocy dojrzałbyś tu światło, są to palące się lampy przed obrazem 12. Apostołów, którym okręt został poświęcony. Czystość szczególna, wszędzie drzewo machoniu, palisandru, orzecha, albo starej dębiny. Opłynęliśmy i przybyliśmy do wschodów, zkąd znów przez grecki portyk weszliśmy do miasta, obok poważnie patrzących na nas klasycznych twarzy bóstw starej Grecyi. Ztąd poszliśmy prosto na herbatę do hotelu pod złotą kotwicą, który stał się razem kotwicą i przylądkiem nadziei naszej. Wyszliśmy następnie o w pół do 7mej wieczornej dla obejrzenia miasta; porównywaliśmy je mimowolnie z Mikołajowem, ale nie masz tu pięknego widoku na port co tam; nie masz tu tego zielonego wieńca akacyi, jaki leży na czole tamtego i nareszcie Sewastopol daleko jest mniejszy od Mikołajowa. Chodząc nad kanałem, albo radą, na której stoją liniowe okręta, widzieliśmy dom na wodzie, czyli okręt z dachem, pomieszczający więzienie i szpital. Mówiono nam, iż jeden chory na gorączkę przebrał się za służącego kiedy szyldwach pytał dokąd idzie, zaczął narzekać przed nim, że ciągle posyłają go za wodą; przepuszczony rzucił się w morze i utonął. Szczególna dysymulacya chorych w gorączce i waryatów!! Oglądaliśmy dom gdzie się pomieszcza kościół katolicki; następnie minęliśmy mały teatrzyk, dalej przechadzaliśmy się po ogrodzie, zajęty pod ogród wielki plac; na tym gruncie kamienistym i wapiennym jak dotąd, nieźle się przyjmują drzewa; oprócz wielu gatunków żółtej akacyi są tu lipy, jesiony, kasztany, sumaki, ale wszystko to młode, kiedy wzrosną może ziemia nie będzie mogła ich wyżywić. W ogrodzie kilka altanek, dość obszerny widok na miasto, rozrzucone po krzemienistym gruncie i tylko gdzie nigdzie rośnie tam chuda topola, albo ówdzie krzak akacyi, rzucając cień na tę spiekłą ziemię. Wróciliśmy nazad do miasta, zdążając ku portowi; zaintrygowała nas rysunkiem swoim budowa jedna, tylko co ukończona, zamknięta; dowiedzieliśmy się, iż przeznaczeniem jej ma być szkoła dla dziewcząt może dom ochrony (la salle d'asil). Ale co pięknego i oryginalnego ma Sewastopol to bibliotekę morską, czyli bibliotekę przeznaczoną dla marynarzy; jest to ładny budynek, na wielkich, z białego marmuru wschodach jego, leżą kolosalnej wielkości, z takiegoż marmuru, Sfinksy. W jednej sali na wielkim mahoniowym stole śliczny model okrętu; przy ścianach w mahoniowych szafach książki matematyczne i astronomiczne, podróże, strategiki, historye; sztuka budowania statków i t. d. i t. d. Oprócz specyalnych dzieł są i inne, nienależące do wydziału marynarza. W około tego pięknego domu, śliczny, cienisty, mały z akacyi żółtej ogródek, opasany śliczną żelazną baryerą;

ztąd widać port cały, morze i miasto ciągnące się za radą, kazarmy morskich ekwipażów, admiralicyą i wiele innych wielkich budowli skarbowych. Ztąd szliśmy na mały bulwar, który spostrzegliśmy nad sobą, idąc główną ulicą do portu, ciągnącą się niżej. Przez otwarte okno jednego domu, polały się na nas melodyjne i burzliwe fale polki Każyńskiego. Na jednem oknie leżały książki polskie, obok Latarni Czarnoksięzkiej Gwiazda i Lewiathan; powitałem je z uczuciem z jakiem ojciec wita dzieci swoje daleko na obczyznie. Bulwar lepiej wydaje się z dołu; drzewka akacyi żółtej małe, liście na wpół uwiędłe, przypadłe pyłem białym; nad tym panującym nad miastem wzgórzu, z którego widzi się port, i z którego widzieliśmy Jenikale, jego buchające dymem kominy i rozpięty biały baldachin na pokładzie; na tym wzgórzu powiadam, stoi monument, na wysokiej podstawie łódź; jest to monument wystawiony admirałowi Kazarskiemu, sławnemu dowódzcy fregaty Merkury (bitwa przy Dardanellach) 1834 roku z napisem: Kazarskiemu, jako przykład dla potomstwa! Ztąd widzieliśmy jak słońce nurzało się w morze, złocąc jego fale i farbując od spodu purpurowym kolorem cały zachód. Potem z zagaśnięciem ostatniej iskry, morze i niebo było jedną krwawą plamą, na niezmierzonej okiem, ołowianej powierzchni, na której chwiały się statki, podnosiły i migały białe żagle, lub też rysowały się tylko czarne sylwety pyroskafów, stojących na radzie (la rade) w widoku portu. Wróciliśmy o zmierzchu do portyku, po którego wschodach, strzeżonych przez białe lwy z najeżonemi grzywami, zeszliśmy do portu. Nad brzegiem morza mnóstwo było przechadzających się, cały piękny świat Sewastopola, postrojone kobiety i oficerowie morscy chodzili tu i tam, pod dachem portyku, u stóp bóstw greckich siedziały kompanie, a na terasie wojenna muzyka grała najpiękniejsze motywy z oper: Łuczyi, Normy i Purytanów. (D. n.)

Rozmaitość.

List do redakcyi. Czytałem na posiedzeniu towarzystwa rolniczego we Lwowie rozprawę o spostrzeżeniach moich nad pszczelnictwem, a wszczególności nad stosunkiem pszczół w ulu co do rozpłodnienia się, o czynności pszczoły zwanej matką, o trutniach i bezpłciowych. Spostrzeżenia moje dały mi powód do mniemania, iż zdania dotychczasowe w tym względzie mogą być mylne. To moje mniemanie objawiłem na posiedzeniu. Jakież było moje zdziwienie wyczytawszy w Gazecie lwowskiej, jakobym ja utrzymywał, iż pszczoły prawdziwemi matkami są „szerszenie" iż szerszenie płodzą pszczoły. Wychodzi to na to samo iż pies rodzi kota, a kot barana. Dowodzi to, iż referent Gazety najmniejszego niema wyobrażenia o historyi naturalnej, mogąc taką niedorzeczność napisać.

Gdy w Nowinach ta niedorzeczność podniesiona i na śmiech powszechny wystawiona została, racz redaktorze zwrócić uwagę czytających, kto właściwie jest autorem tego bezsensu. A że wiadomości o wszystkich nowych wynalazkach i spostrzeżeniach, w jakiejkolwiek pojawiają się dziedzinie, umieszczasz w swem pismie, więc racz i moje uwagi o stosunku pszczół w ulu zamieścić, w ktorymto celu przesyłam ci całą rozprawę odczytaną na posiedzeniu a która w całości umieszczona będzie w poszycie letnim rozpraw c. k. Towarzystwa agronomicznego. *F. X. Abancourt.*

(Gdy rozprawa ta jest za obszerna i specyalna a prócz tego drukowana będzie w piśmie towarzystwa gospodarskiego, więc jej tu nie podajemy. Tu dość będzie powiedzieć, iż istotnie referent Gazety lwowskiej popełnił omyłkę. Zresztą p. Abancourt z anatomicznego i mikroskopijnego rozbioru trutniów wychodząc, rzucił jedynie mniemanie, iż te niosą jaja. Dalsze rozbiory anatomiczne i mikroskpijne z matką i z robotnicami ma, jak oświadczył w tej rozprawie czynić dopiero tego lata wraz z professorem zoologii przy tutejszym uniwersytecie.) p. r.

* **Rada pewnej matrony dana synowi względem wyboru żony.** Jeżeli poweźmiesz myśl ożenienia się z młodą dziewicą, usiłuj przedewszystkiem najmniej cztery lub pięć razy w przedpołudniowej porze, a to jeżeli możność dozwoli przed śniadaniem wejść do jej mieszkania. Powinieneś się dowiedzieć jak długo rano w łóżku spoczywa, powinieneś zwrócić uwagę ażali jej cera rano jest ta sama co i w wieczór była? lub czyli woda i ręcznik nie starły z policzek świeżości wieczornej? Powinieneś zejść ją niespodzianie, abyś ją w porannem ujrzał ubraniu, i przekonał się jak też jej włosy Powinieneś wszelkich możliwych użyć usiłowań aby się dowiedzieć, jakie też jej z matką a to bez świadków jest zachowanie.

Jeżeli jest opryskliwą i złośliwą względem swej matki, bądź pewnym iż względem ciebie taką samą będzie.

Gdy ją zaś rano już na cały dzień czysto ubraną zobaczysz, z tą samą pogodną twarzą, tym samym uśmięchem na ustach, tym samym starannie uczesanym włosem, z temi samemi uprzedzającemi i przyjaznemi odpowiedziami dla swej matki, któremi się wieczorem tak odznaczała, a szczególniej, jeżeli swej matce w pomoc do uporządkowania domu i zastawienia w czasie przyzwoitym śniadania przychodzi, jeżeli dla sług jest pobłażająca, i tych zawisłe położenie swem względnem postępowaniem osładzać stara się, jeżeli się użytecznej pracy poświęca, jeżeli dąży do ukształcenia swojego ducha, jeżeli obmową nie zatruwa spokojności poczciwych ludzi, jeżeli jest oszczędną, jeżeli drogie chwile czasu tego największego skarbu, ubiorowi zbyt długo na pastwę nie daje, jeżeli wyłącznym przedmiotem rozmów nie są stroje modne i bale, jeżeli obojętnem okiem i bez zazdrości na zbytek ludzi majętnych pogląda, jeżeli unika wszelkiej wystawności, jeżeli w zakresie domowego życia znajduje przyjemność, jeżeli do próżnowania czuje wstręt nieprzezwyciężony, jeżeli miasto strumieni łez (które jak nasz Kraszewski trafnie utrzymuje, dla tego nieraz tak obficie płyną, bo nic nie kosztują,) fundusz na suknią balową przeznaczony, wdowom i sierotom w darze przynosi, o wtedy wybrana przez ciebie osoba jest klejnotem mój synu drogi, i im prędzej jej wzajemność pozyskasz, tem prędzej staniesz się uczestnikiem prawdziwego szczęścia.

* Sprostowaliśmy już poprzednio, iż administracya funduszu drohowyskiego właściwie nie w dzierżawę przez licytacyą wypuszcza teatr, iż tu chodzi jedynie komu powierzona ma być przyszłość teatru polskiego. Administracya nie szuka zysku lecz zwrotu jedynie kosztów a uniknienia straty. Koszta te na obadwa teatra: polski i niemiecki wynosiły w ubiegłym roku do 23,000 złr. Wchodzi w to orkiestra światło, opał, kassa, lekarz, malarz, służba teatralna. Gdy polski teatr 10 razy bywa w miesiącu, więc trzecią część tych kosztów ponosić ma. Wprawdzie orkiestra opery nie potrzebna jest dla teatru polskiego. Lecz w tym względzie trudnoby było koszta inaczej obrachować. Znaczne straty jakie ponosiła administracya na polskim teatrze w ostatnim roku z jednej strony a z drugiej strony przekonanie iż w prywatnem przedsiębierstwie teatr polski lepiej rozwinąć się może, mają skłaniać ją do oddania polskiej sceny w przedsiębiorstwo prywatne. W ostatnim roku miało być jedynie 20,000 złr. monetą konw. dochodu brutto z polskich przedstawień. Gaża aktorów polskich wynosiła 19,200 złr. Dodawszy do tego wydatki drobne, dziennie do 20. złr. wynoszące, a więc za 120 przedstawień 2400 złr. więc okaże się iż w ostatnim roku straty na teatrze polskim fundusz drohowyski poniósł do 10,000 złr. m. k.

* Donieśliśmy dawniej o przypadku, który zdarzył się między Czerniowcami a Bystrzycą, nie ręcząc za prawdę szczegółów. Teraz dowiedzieliśmy się z niemylnego źródła, iż owa pani nie dostała wścieklizny istotnej, lecz jedynie pomieszania zmysłów w wysokim

stopniu, w którym kąsała zbliżających się. A że taż sama pani przed laty kilku pokąsana była od psa wściekłego, więc ztąd urosło początkowe mniemanie o jej chorobie. Również mówią nam iż wypadku zagryzienia drugiej osoby nie było. Obłąkana jest ze Stryja.

* Dziś o 5. rano odjechał **Cesarzewicz Jego Mość** do Wiednia; na pierwszy nocleg zatrzyma się w Łancucie.

* JEx. hr. Namiestnik spodziewany jest 19go w Krakowie.

* Pałac Skrzyńskich, z pięknym ogrodem, na górze za ogrodem jezuickim, wynajęto na letnie przebywanie w nim dla Cesarzewicza Jego Mości.

Sprostowanie. Szanowny redaktorze! Jeśliś uznał za rzecz potrzebną donieść w «Nowinach» z dnia 4. b. m. o nakładzie dzieła pod tytułem Wiek Jadwigi (właściwie Jadwiga i Jagiełło czyli Pierwsze połączenie się Polski z Litwą,) tedy chciej sprostować pomyłkę, popełnioną w doniesieniu. Nabywcą wzmiankowanego dzieła nie jest księgarz B. M. Wolff w Petersburgu, lecz Karol Wild we Lwowie. — 5. kwietnia. *Karol Szajnocha.*

* Wiadomo iż drukarze krótko zawsze żyją. Gazy rozwijające się z materyału ołowianego, mają im skracać życie podług zdań lekarzy. Pozawczoraj jednakowo chowano drukarza Franciszka Leszera, który miał 68 lat a 55 lat nieprzerwanie czynny był w drukarni.

* Punkta przedugodne o **oświetlenie miasta Lwowa gazem** drzewnym już są umówione. Przedsiębierca jest pan Mises, bankier i hurtownik tutejszy. Tysiąc stóp kubicznych gazu kosztować będzie 5 złr. m. k. Tym sposobem przyjdzie miastu oświetlenie taniej niż dotychczasowe. Za oświetleniem ulic pójdzie zapewne, iż tymże gazem będą i gmachy publiczne i prywatne oświetlać.

* Pismo dla ludu, wychodzące raz na tydzień po arkuszu we Lwowie pod tytułem: »Przyjaciel domowy« pod redakcyą p. Stupnickiego, otrzymało pozwolenie umieszczania wiadomości politycznych bez złożenia kaucyi.

* Z Krakowa donoszą, iż rząd panu Megerle, przedsiębiercy teatru tamtejszego, zasekwestrował garderobę i dekoracye teatralne; urzędnik wydaje im garderobę i rzeczy potrzebne a po użyciu zamyka. Aktorowie zrobili spółkę i grają na swój rachunek, chociaż dotąd pod firmą jeszcze dyrekcyi Megerlego.

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Muzyka. 2. Kolomyja. 3. Pierścień 4. Rabaty.**

Szarady przez **F. M.**

1. Dwóm pierwszym wszystko ulega na świecie,
Dwóch drugich dziećmi na wieki będziecie.
A wszystko niegdyś gdy na świecie żyło,
Synom dwóch drugich z chlubą hetmaniło:
Choć dziś z nazwiska żyje między nami,
Z natury rzeczy jak poznacie sami,
Istnieć nie może; bowiem rodu tego,
Smierć pochłonęła członka ostatniego.

2. Pierwszą panujący zwykle się mianuje,
Pierwsza z drugą głowę twoję zamieszkuje,
Druga z trzecią owoc smaku wybornego,
Wszystko nieprzyjaciel stworzenia licznego,

3. Kędy wzrok potoczysz,
Pierwsze z drugim zoczysz,
Trzecie w zodyaku wdrapało się na nie,
Wstaw trzecie do ognia a wszystkiem się stanie.

Przyjechali dnia 5. 6. i 7. kwietnia do Lwowa:

PP. Bal Antoni, z Grochowic. Grohman Franciszek, z Sambora. Jarosławski Grzegorz, z Pustomyt. hr. Krasiński Piotr, z Rohatyna, Łoziński Tomasz, z Laszek dolnych. Smalawski Leon, z Rollowa.

PP. Beram Joachim, z Tarnopola. Dobrzański Stanisław, z Daszawy. Grabianka Tomasz, z Ohładowa. Hensel Tadeusz, z Tarnowa. JE. hr. Lewicki Kajetan, z Chorostkowa. Matkowski Jordan, z Turzego. Pietruski Jan, z Sambora. Pohorecki Kajetan, z Horpina. Sidorowicz Stanisław, z Brzeżan. Sozański Wicenty, z Tarnopola. Teliszewski Julian, z Derewacza. Victorini Ottomar, z Żółkwi. Wybranowski Roman, z Horodysławic.

PP. Gęsiorowski Erazm, z Sassowa. Horaczek Józef, z Brodów. Hrihorowicz Emil, z Stryja. Krysowski Jan, z Gródka. hr. Aniela Łosiowa, z Narola. Sochanik Nikodem, z Zbaraża. Winnicki Michał, Stryja.

Wyjechali dnia 5. 6. i 7. kwietnia ze Lwowa:

PP. Bodański Henryk, do Brzeżan. Czajkowski Izydor, do Jarosławiec. hr. Leali, do Podhajczyk. hr. Józef i Leopold Starzeński, do Tarnopola. Szlachtowski Jan, do Kropiwny. Wiktor Walenty, do Przemyśla.

PP. Jeziernicki Marek, do Baworowa. Józef i Roman Konopka, do Krakowa. Krulicki Szczepan, do Tarnopola. Lewicki Józef, do Przemyśla. Mandel Wiktor, jenerał-major, do Kołomyi. JO. ks. Alain Rohan, do Przemyśla. Serwatowski Wojciech, do Przemyśla. Teodorowicz Józef, do Stanisławowa. Wysocki Józef, do Łopatyna. Załęski Antoni, do Romanowej woli. Załęski Gabryel, do Iskani.

PP. Domaisel Edward, do Sokołowa. hr. Fredro Henryk, do Dubianowic. Manastyrski Józef, do Sambora.

Lwów 7. kwietnia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 21 złr. — kr. do 25 złr. — kr. — Żyta po 18 złr. 30 kr. do 19 złr. 45 kr. Jęczmienia po 16 złr. 7 kr. do 17 złr. — kr. Owsa po 9 złr. 30 kr. do 11 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 17 złr. — kr. do 18 złr. — kr. — Ziemniaków po 9 złr. 45 kr. do 11 złr. — Sąg drzewa bukowego 24 złr — kr. do — złr. Sosnowego po 21 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 1 złr. 47 kr. do złr. 2 kr. 9. Centnar słomy 1 złr. 41 kr. do 1 złr. 45 kr. w. w.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotówką				towarem.	
Dukat holenderski	złr.	6	kr. 16	złr.	6	kr.	20.
Dukat cesarski	»	6	» 18	»	6	»	24.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	» 58	»	11	»	6.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	» 6	»	2	»	8.
Talar pruski	»	2	» 3	»	2	»	5.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	» 31	»	1	»	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	92	» 30	»	93	»	—

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	163.
Augsburg za 100 złr.	$137\frac{1}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$135\frac{3}{8}$.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	$163\frac{3}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$137\frac{1}{4}$.	Agio duk. ces.	84.
		Srebra agio	37.
Genua	—	Pożyczka 5% 86. $4\frac{1}{2}$	77.
Hamburg za 100 tal. banco.	103.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1162.
Liwurno		Kolej północna	2200.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 29.	Obl. ind. 5%.	84

Od wydawcy. Kilku prenumerantów nie otrzymało rycin do przeszłego numeru dołączonych z powodu, iż tychże nie stało. Nie spodziewaliśmy się podwojenia liczby prenumerantów. Dopiero za dni kilka najdejdzie zażądana większa ilość, poczem zaległe natychmiast prześlemy.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**